№ 15. Wilno, dnia 3 Maja 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

TRZECI MAJ. (1791).

Na warszawskim rynku,
Chorągwie się chwieją,
Zajaśniała wiosna,
Majową nadzieją!
Zajaśniała wiosna,
Nad ojczystym łanem,
Dziś się w służbie dla Ojczyzny
Chłop porównał z panem.
Na warszawskim rynku,
Tam muzyki grają,
Stanowi kmiecemu,
Bracia prawo dają.
Nadają mu prawo,
By bronił tej ziemi,
Razem z onymi rycerzami,
Jak z braćmi starszymi.

Radzili na sejmie,
Całe cztery lata,
Uradzili że się
Naród w jedno zbrata.
Czas ci, Polsko, zgoić
Twoje ciężkie blizny!
— Wszyscy dzisiaj równi sobie
W obliczu Ojczyzny.
Na warszawskim rynku,
Biją wszystkie dzwony,
Wolnych synów Polsce,
Przybyły miljony.
Idą do katedry,
Do świętego Jana,
Złoto — przy kapocie,
Przy delii — sukmana.

O ty dniu radosny,
O ty Trzeci Maju,
Zapachniałeś kwieciem
W całym polskim kraju.
Zapachniałeś kwieciem
Najsłodszej wonności:
— Miłością Ojczyzny,
I bratniej jedności.

Marja Konopnicka.

J. BOGUSZ.

Jak Adaś dostał znaczek 3-go Maja.

Lekcja była skończona. Książki złożone. Dzieci wychodziły z ławek, pilno im było wybiec z izby szkolnej, rozgrzać się w promieniach wiosennego słońca.—Skinienie ręki nauczycielki wstrzymało je.

— Chwilkę zostańcie, rzekła pani, wstając ze swego krzesła. Chcę wam jeszcze raz przypomnieć, że jutro obchodzimy Święto Narodowe.

— 3-ci Maj! zawołał Oleś. Pamiętamy proszę pani.

— Przyjdźcie więc jutro wszyscy do szkoły i niech każde z was, poprosi rodziców o kilka groszy. W dniu bowiem 3-go Maja, cała Polska, to jest każden Polak i Polka, obowiązani są jak już to wam mówiłam chociażby kilka groszy złożyć na Dar Narodowy.

— Wiemy, wiemy, zawołały dzieci chórem, a za te grosze, Polska Macierz Szkolna będzie budowała i zakładała szkoły polskie.

— Tak, odrzekła nauczycielka i wstyd będzie temu, kto bodaj jednego grosza nie złoży Polsce w ofierze. Rodzice wasi bogaci nie są, każden jednak może raz w rok, zapłacić taki mały podatek. Ci, którzy przyniosą mi grosze zapiszą się na liście ofiarodawców i potem tę listę wraz z zebranemi pieniędzmi odeślemy do Wilna

— Dobrze, dobrze, wołały dzieci, wszyscy przyniesiemy. Do widzenia pani.

I jak ptaszki wypuszczone z klatki, wybiegły na podwórze, a potem rozbiegły się każde w swoją stronę.

Adaś Bucko szedł smutny. On jeden nie zawołał, że grosik przyniesie. Wiedział, że tego uczynić nie może. Sierota bez ojca i matki, chował się u obcych ludzi. Przyjęli go, przygarnęli, żywili i przyodziewek dawali, a ot tej zimy, pozwolili do szkoły chodzić. Wdzięczny im był za wszystko, a już najwięcej za tę szkołę. Tyle się tu rzeczy dowiedział. Tak mu tam dobrze było. — Gdyby pani nauczycielka pozwoliła, to siedziałby tam caluśki dzień. A jutro co on pocznie. Wszystkie dzieci przyniosą grosze, dostaną śliczne znaczki z Orłem Polskim, przypną je sobie i pójdą ze sztandarem, z panią, do ko-

ścioła.—I wszyscy będą wiedzieli, że to idzie szkoła polska. Dzieci polskie. A on? on jeden będzie szedł bez znaczka. Nikt go Polakiem nie naźwie.

I na samą myśl o tem, łzy zasłoniły oczy chłopca. Nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył go płaczącym skręcił więc w bok, nie do wsi, lecz na brzeg rzeki.

Serwecz piękną była. Słońce nie wysuszyło jeszcze jej wód. Płynęła szeroko i lsniła się cała w blaskach wiosennego dnia. Adaś zajęty swem strapieniem, nie patrzał na falę, uwagę jego za to zwróciła staruszka idąca w stronę wsi. Niosła kosz bielizny, świeżo upranej i widocznem było, że ciężar przechodził jej siły, bo co chwilę stawała ciężko dysząc. Chłopak skoczył do niej.

— Proszę pozwolić, rzekł uprzejmie, ja poniosę ten kosz.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona. Nigdy jeszcze nikt, żaden chłopak nie ofiarował się jej z pomocą. Ale Adaś mał takie szczere, uczciwe oczy, że po chwili wahania oddała mu swój ciężar. Mieszkała nie daleko, ale ani ona Adasia, ani on jej nigdy nie widział. Idąc obok chłopca błogosławiła go cały czas.

— I czem ja ci się odpłacę, rzekła, gdy doszłi do jej chałupki, chętnie dałabym ci parę groszy, ale Bóg świadkiem, że nie mam.

— Kiedy, ja nie dla pieniędzy, nie dla zarobku niosłem, chciałem tylko wam babciu dopomóc, rzekł chłopak. Wam było ciężko, a mnie to nic. I chciał już biec do domu.—Zatrzymała go.

— Poczekaj, poczekaj, mówiła, już ja tak cię nie puszczę. I szybko weszła do chałupy.

— Weź bodaj to, powiedziała wracając za chwilę i podając mu jedno jajo. Ot zgotuje ci matka na podwieczorek. Zjedz na zdrowie.

I mimo oporu chłopca wsunęła mu jajko w kieszeń

Coś zajaśniało w duszy Adasia. On tego jaja nie zje. Odda je za znaczek. Przecie to jego, własne zarobione. Boże co za szczęście!

Pochylił się i ucałował rękę staruszki.

Nazajutrz szedł z całą szkołą do kościoła a na piersiach jego jaśniał—mały polski orzełek.

WANDA STANISŁAWSKA.

Jak Staś ze Stachem wypędzali bolszewików.

III.

Gdy zeskoczył Stasio z płotu
Patrzy wkoło—to plac pusty,
W środku placu kupa drzewa,
Nad drzewem się suszą chusty
A za placem, bardzo blisko,
Widać nasyp kolejowy,
Staś ostrożnie, cicho stąpa,
Bojąc się przygody nowej.
Wraz po drzewie się gramoli
Bo wprost niema innej drogi —
Ileż razy dla swawoli
Wspinał się tak, Boże drogi!
Gdy na stosie stanął wreszcie,
Spiłowanej kupy polan,
Zadrżał z szczęścia i radości
Od czupryny aż do kolan...



Bo tam z dołu ku Stasiowi
Patrzą jak len modre oczy
Nad niemi się Orzeł bieli...
Jak nie krzyknie Staś! nie skoczy!
Nic nie zważa na karabin
W niego wprost wycelowany,
Widzi tylko mundur siwy!
Żołnierz polski! Swój! kochany!

. . . .



Stoczył się Staś jak wiewiórka,
Na żołnierskiej zawisł szyi...
W gardle dusi go... z ócz ciurka...
A żołnierz, Panny Maryi
Jak nie wezwie ku pomocy!
Bo mu chłopak padł na piersi
Jako właśnie kamień z procy.
—„Raku jakiś zatracony
W pole strzałów wchodzić wara!
Byłbym zgładził cię ze świata
Niby muchę lub komara!
Ruszaj mi precz skądeś przyszedł!“
—„Ani myślę—Staś odpowie
Żołnierz otwarł usta... kichnął
A Staś rzecze mu: „Na zdrowie!“
I, złożywszy obie rączki,
Nuż go prosić, molestować:
—„Żołnierzyku drogi, złoty,
Daj przy sobie mi wojować!



Skrzynkę tę ci będę nosił,
Ciężka, pewno w niej naboje,
Wypędzimy bolszewików,
Ja się wcale ich nie boję,
Gdy huknęło—tom nie płakał
Jak Hania, bom nie jest baba“...
A żołnierzyk w śmiech:—„Ha-ha-ha!
Widział kto takiego szkraba?
Zarazby mnie pan porucznik
Spytał—gdzie też rozum miałem,
Żem do Wilna wszedł z paradą
Aż pod takim jenerałem!

Ale może ty znasz miasto?“
—„Znam, znam, tak jak dom swój
własny“:
—„A to będziesz przewodnikiem,
Bo, niech piorun tknie mnie jasny,
Jeśli wiem, w jakąm wlazł dziurę
I czy stąd wyniosę skórę!
Toć te juchy zatracone
Z za każdego prażą węgła,
Łaska boska, że nas jeszcze
Tu gdzie kula nie dosięgła!“
—„Ojoj, nie czekali oni
Rzecze Stasio—takich gości,
Nie żałujcież kul i prochu
By im pogruchotać kości!“
—„Jakże ci na imię, smyku?
—„Staś.“—„Oo? i mnie Stach! tak
samo!
Prowadź że więc w imię Boże!“
—„Przekradniemy się tą bramą,
Bo w zaułku, niedaleko
Bolszewików jest gromada
Co w pośpiechu, ścisku, strachu,
„Czekę“ zwija, graty składa.
Czyś sam Stachu?“—„Pod parkanem
Patrz, mój oddział się porusza,
Wpadniem na czerwonych djabłów,
Że nie wyjdzie żywa dusza.
Naprzód chłopcy, a ostrożnie,
Po cichutku, ku tej bramie
Trzeba zdybać tych psubratów
Jak wściekłego wilka w jamie!“

. . . .

c. d. n.

WANDA NIEDZIAŁKOWSKA-DOBACZEWSKA.

Zaczarowany Kraj.

(Ciąg dalszy).

Już tętni słoń Brums, aż echo leci dookoła, a dzieci z Królewiczem, wstrząsane i podrzucane, podskakują na pół metra od słoniowego grzbietu.



Duży krok! duży skok! Oto już las się skończył. Na zielonej łączce—prostopadła skała. Pod skałą strumień błękitny. Nad strumieniem piernikowa chata, a drzwiczki do niej czekoladowe, a próg do niej ciasteczkowy. Okna z karmelków przezroczystych, dach z owoców smażonych. Przed chatą Dziadulek. Broda po pas, siwa, a oczy mądre. Dziadulek stary jak świat, wszystko wie co było, co jest i co będzie. Zajechał słoń Brums przed chatę i klęknął na cztery nogi, a czołem o ziemię uderzył w pokłonie. Dzieci zlazły.

Hania dygnęła jak mogła najniżej, Tadzik po męsku się ukłonił, a Królewicz lewą rękę na sercu położył, zgiął się w pół, a prawą ręką do kolan dziadka się skłonił. Bardzo to ładnie wyglądało

Dziadulek uśmiechnął się miłościwie i podróżników do izby zaprosił.

Na stole leżał chleb czarny i stało mleko w dzbanku. Dziadulek zaprosił dzieci, by siadły do jedzenia. Hania oglądała się jednem oczkiem na piernikowe ściany, ale

nie śmiała nic powiedzieć. A że była bardzo głodna, więc za przykładem Tadzika, zabrała się do mleka i chleba. I chleb i mleko były bardzo smaczne. Dzieci ani się obejrzały, jak cały bochen zniknął do ostatniej okruszynki.

Dziadulek uśmiechnął się pod wąsem, pogładził dzieci po główkach i na zakąskę pozwolił im ułamać po kawałeczku ściany. Ach! jakież to było smaczne!

Potem Dziadulek poprowadził Tadzika i Hanię do małego okienka z drugiej strony chaty i kazał im spojrzeć przez szybki. Spojrzały dzieci, a tam calusieńki Boży świat, widoczny, jak na dłoni!

Góry i morza, rzeki i doliny, gdzie jak kto żyje, gdzie kto co robi! Wszystkie zwierzątka jakie są na ziemi przewędrowały przed zdumionemi oczami Tadzika i Hani. Potem wszystkie ptaszki.

Gdy się spojrzało w dół—widziało się dno morskie: jak pełzały po niem olbrzymie kraby, jak rosły korale i jak muszle perłowe czepiały się skał podwodnych. Jak pływały rekiny i wieloryby i tłum drobnych rybek, jedne dziwaczniejsze od drugich.

A spojrzało się w górę—to widziało się gwiazdy, ale tak jakoś wyraźnie. Był tam i czerwony Mars, i zielona Wenus i Saturn *) z kręcącemi się dokoła niego pierścieniami. Wszystko to, o czem dzieci kiedykolwiek myślały i czem się interesowały, okazywało się im żywe i prawdziwe przez okno Dziadulka chaty.

Patrzyły i patrzyły, a Dziadulek tłumaczył i tłumaczył. W końcu dzieci tak dobrze zrozumiały cały Boży Świat, że lepiej od tatusia i mamusi.

Wszystko im opowiedział Dziadulek: co skąd się bierze i co dla czego jest.

Królewicz był tu już nieraz i nieraz patrzył przez Dziadulkowe okienko, więc nie zabierał miejsca dzieciom. Siadł sobie na złotym stołeczku i przeglądał książkę z obrazkami.

d. n.

---

*) Saturn, Wenus i Mars to nazwy gwiazd.